GRAHAM MASTERTON

UZNANI ZA ZMARŁYCH

JEDEN Z NAJORYGINALNIEJSZYCH AUTORÓW,
KTÓRY WIE, JAK NAPĘDZIĆ STRACHA

Peter James

Rozdział 1

– Gratuluję wam, moi drodzy, i niech was Bóg błogosławi – powiedział ksiądz Michael, podchodząc do Connora i Niamh. Ujął ich dłonie. – Jaki piękny ślub, cudowny! Do końca życia będziecie wspominali ten dzień!

– Wszystko doskonale się udało, proszę księdza – odparła zarumieniona Niamh. – Ogromnie spodobało mi się to, co ksiądz mówił: żebyśmy nigdy nie zapominali z Connorem o śmiechu, nawet jeśli czasami będzie bardzo trudno.

– To tajemnica trwałego małżeństwa – skomentował kapłan. – Szatan nade wszystko nie znosi kpin.

Oczy Niamh błyszczały od łez szczęścia, które rozmazały jej makijaż.

– Nie dowierzałam własnym oczom: akurat w chwili, kiedy Connor wkładał mi na palec obrączkę, przez witraże nagle zaświeciło słońce! Tak jakby Bóg cieszył się z naszego ślubu – mówiła.

– Na pewno się z niego cieszy.

– I nie rozpłakało się ani jedno dziecko, prawda? Nawet kiedy grały organy.

– Za to moja mama płakała – wtrącił Connor. – Łkała jak foka.

– Znacie to stare powiedzenie – powiedział ksiądz Michael. – Kiedy mężczyzna się żeni, matka traci syna, a

kiedy kobieta wychodzi za mąż, ojciec zyskuje kumpla do chodzenia na ryby!

Właśnie wtedy nadszedł ojciec Niamh; jego ogorzała twarz była jeszcze czerwieńsza niż policzki córki, a siwe, zaczesane na bok włosy zsuwały się w nieładzie z łysiny.

– Pora kroić tort, kochana! – zawołał. – Wszyscy gotowi!

Connor ujął dłoń świeżo poślubionej żony i razem przeszli pomiędzy gośćmi zgromadzonymi w głównej sali. Zaprosili na tradycyjne irlandzkie wesele ponad dwieście osób, a mogli zaprosić i więcej, ojciec pana młodego był popularnym w mieście radnym oraz właścicielem sklepu odzieżowego O'Malley's Outfitters przy Patrick Street, ojciec Niamh zaś był jednym ze współwłaścicieli supermarketu ogrodniczego Greenleaf Garden Centre w Ballyvolane.

Przy końcu sali zespół The Brendan Collins Boys jeszcze przed chwilą grał *The Coalminer's Reel*, ludową melodię do tańca, lecz muzyka umilkła i goście zaczęli gromadnie bić brawo. Connor i Niamh mieli wielkie szczęście: choć wesele odbywało się w październiku i na dworze panował chłód, pogoda dopisała. Hotel, w którym się znajdowali, stał na wysokim, stromym wzgórzu, z którego rozciągał się widok na miasto. W dole w promieniach słońca iskrzyła się rzeka Lee, tak jasno, że odbite światło aż migotało na suficie sali.

– Patrz – rzuciła Niamh, pokazując w górę. – Nawet anioły tańczą.

Tort składał się z trzech okazałych pięter pokrytych białym lukrem, z cukrowymi ozdobami dookoła każdego. Na samym szczycie tkwiły miniaturowe figurki przedstawiające młodą parę. Ojciec Niamh podał państwu młodym duży srebrny nóż.

– Dobrze się oboje spisaliście – pochwalił ich. – Tylko zostawcie mi teraz największy kawałek.

Connor i Niamh wspólnie ujęli w dłonie nóż i zaczęli kroić górny krążek tortu, przy błyskach fleszy aparatów i smartfonów, do wtóru oklasków i gwizdów. Szło im to

szybko, bo tort był z biszkoptu i kremu waniliowego. Kiedy jednak zabrali się za dolny, największy krążek, zatrzymali nagle nóż, po czym cofnęli go i popatrzyli po sobie.

– Co tam, kurwa, jest? – zaklął pod nosem Connor. Powoli wbijał nóż w bok tortu, ale zatrzymywał się po jakichś siedmiu czy ośmiu centymetrach.

– Co się stało, Conn? – spytał go jeden z kolegów.

– W środku coś jest – wyjaśnił pan młody. – Nie wiem co. Coś bardzo dużego i twardego!

Podszedł do niego ojciec, barczysty, siwy mężczyzna o nastroszonych włosach. Wyglądał, jakby miał za chwilę rozsadzić od środka opinający go szary garnitur.

– Jak to: twardego?! Conn...

– W torcie naprawdę jest coś twardego – potwierdziła Niamh. – Ja też poczułam.

– Dziewczyno, co ty opowiadasz?! Nie może być w nim nic twardego. Przecież to biszkopt. Sam go zamawiałem, u Crounana.

Ojciec Connora odebrał synowi nóż i sam dźgnął tort; a jednak i on był w stanie wbić go na najwyżej osiem centymetrów. Powtarzał swoją czynność, obchodząc wózek z tortem i atakując ciasto ze wszystkich stron.

Goście zebrani dookoła z kieliszkami w dłoniach obserwowali i komentowali zdarzenie.

– John, co ty wyprawiasz?! – zawołał ktoś z tyłu bełkotliwym głosem. – Chcesz ten tort zamordować?

Kilka osób się roześmiało, ale zaraz ucichło, kiedy tylko ojciec pana młodego podniósł wzrok. Po jego minie widać było wyraźnie, że coś jest zdecydowanie nie w porządku. Młoda para cofnęła się powoli aż do okien, przez które rozciągał się widok na miasto; Niamh nerwowo gryzła kciuk.

Do stolika z tortem podeszli jej rodzice.

– Co się stało? John, co się dzieje? – pytali.

– W tym biszkopcie jest coś twardego, Barry. Nie mam pojęcia co. Trzeba powycinać ciasto i zobaczyć.

– Coś twardego? Nie rozumiem.

– Mówię ci, Barry, że ja też nie rozumiem.

– A nie mówiłam?! – skomentowała ze złością matka Niamh. – Mówiłam, że to my powinniśmy zamówić tort! Byłoby dobrze, żeby nie zepsuł całego wesela. To wielkie święto Niamh, i nie zgadzam się, żeby miała złe wspomnienia, tylko z powodu waszego skąpstwa. Trzeba było zamówić porządny tort u Brackena.

– Pomóż mi, Connor – poprosił tymczasem ojciec pana młodego. – Odetnę dwa górne piętra i wtedy zobaczymy, co, do diabła, jest w tym dolnym. Masz rację: coś dużego i twardego.

– Nie do uwierzenia – trajkotała matka Niamh. – „Och, tort dostaniemy za darmo", tak powiedziałeś. I widzisz, czym to się kończy. Szkoda ci było stu euro, a teraz biedna Niamh jest bliska łez.

– Anno – ojciec Connora usiłował zachować spokój – przyznaję, że Micky Crounan dostarczył mi ten tort gratis, w ramach podziękowania za przysługę. Przyczyniłem się do przegłosowania jego planów. Ale to przecież świetny cukiernik, dobrze o tym wiesz.

– Dlaczego w takim razie rozcinasz na części tort weselny mojej córki, sprawdzając, czy nie ma w nim czasem cegły albo czegoś innego? W końcu każdemu coś takiego może się to przytrafić, sama nieraz wrzucałam niechcący do ciasta cegłę, but czy książkę kucharską. Wystarczy chwila nieuwagi...

– Anno... – Ojciec Niamh z dezaprobatą pokręcił głową, dając żonie do zrozumienia, że ironiczne komentarze powinna zachować dla siebie, przynajmniej na razie.

Ojciec pana młodego ostrożnie odkroił górne piętro tortu, a Connor przeniósł je na talerz. To samo zrobili ze środkowym krążkiem. Pozostał dolny, wciąż polukrowany wokół obwodu; w środku widać było biszkopt. Goście podeszli do samego stolika, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– O co chodzi, Johnie? – wypytywał jeden z zaproszonych.

– Powiedzieli mu, że w środku są pieniądze – odpowiedział mu ktoś. – Nie zniósł myśli, że ktoś inny niż on może znaleźć choćby jedno euro.

Ojciec Connora wziął łyżkę do deserów i ignorując docierające do jego uszu komentarze, zaczął metodycznie ściągać nią górną warstwę biszkoptu. Marszczył w skupieniu czoło, niczym archeolog odsłaniający oblepiony ziemią rzymski posąg.

Zobaczył coś małego i czarnego, miękką, sprężystą wypukłość, której powierzchnia przypominała mu kolorem drażetkę o smaku czarnej porzeczki. Zaczął więc usuwać otaczający ją biszkopt; jego oczom stopniowo ukazywały się dwa trójkątne otwory, położone nieco niżej. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że to nie żadna drażetka: patrzył na kartoflowaty ludzki nos! Czarny kolor był skutkiem rozpoczętego rozkładu tkanki.

Równocześnie John poczuł, że od tortu bije inny, znacznie silniejszy zapach niż ten waniliowy. Wciąż słodkawy, ale ohydny; a że jego kuzyn pracował kiedyś jako grabarz, John od razu wiedział, o co chodzi. Omal nie zwymiotował – taki poczuł ucisk w żołądku. Wyprostował się i zaczął odganiać rękami cisnących się wokół gości.

– Cofnijcie się...! – zdołał wymówić, zanim jego żołądek ścisnął się znowu. Przycisnął pięści do ust, opanował sytuację i powiedział: – Bardzo proszę wszystkich o cofnięcie się. Niech ktoś wezwie policję. Powiedzcie, że to pilne.

– Jezus Maria, co to jest? – dopytywała się matka Niamh.

– Proszę cię... odejdź kilka metrów.

– Co się stało, John? – zapytał ksiądz Michael, obszedłszy stół. Oparł dłoń na ramieniu ojca Connora. Zbliżył twarz do zrujnowanego tortu, gdyż miał krótki wzrok. – Co tu znalazłeś? I dlaczego tak cuchnie...? – Wyciągnął okulary w drucianych oprawkach i przyjrzał się z jeszcze mniejszej odległości. – O Matko Boska! – rzucił niemal natychmiast

i przeżegnał się.

– Connor, zabierz stąd Niamh – polecił John, spoglądając w stronę syna. – Zabierz ją gdzieś dalej!

– Tato, co to jest? Powiedz mi, proszę.

– Wyprowadź stąd Niamh. Przebierajcie się do wyjazdu na miodowy miesiąc. Koniec wesela, przykro mi.

Matka Niamh, trącając ludzi łokciami, przecisnęła się przed księdza.

– Nie mów mi, żebym się cofała, bez podania przyczyny! John, to jest wesele mojej córki, a poza tym zapłaciłam za nie grube tysiące!

Zmieszani goście tłoczyli się w pewnej odległości, rozmawiając między sobą. Nadszedł zastępca kierownika hotelu. Przeciskał się w stronę ojca pana młodego, żeby się dowiedzieć, co się stało. Muzycy poodkładali flety, *bodhrán* i kontrabas i patrzyli po sobie z konsternacją.

– Nie zamierzam odsłaniać tego bardziej. W każdym razie to czarne na środku tortu jest ludzkim nosem... Przypuszczam, że jest tam zapieczona cała głowa.

Rozdział 2

Michael Gerrety szedł w dół po schodach przed budynkiem sądu. Towarzyszyli mu jego adwokat James Moody, żona Carole oraz trzech łysych osiłków w czarnych kurtkach.

Przystanął w połowie schodów i popatrzył w bok, na Katie, i upewniwszy się, że go widziała, posłał jej piękny uśmiech. Był bardzo przystojny, miał męską twarz i falujące kasztanowe włosy. Katie mogłaby go uważać za atrakcyjnego, gdyby nie wiedziała, co zrobił i jakim jest człowiekiem.

Dziennikarze już się rozeszli, Katie jednak wciąż rozmawiała z prokurator Finolą McFerren. Przerwała i odpowiedziała Gerrety'emu uśmiechem, chociaż wiedziała, że jego uśmiech oznaczał: „A nie mówiłem, że mi się upiecze? Na darmo się starałaś, suko jedna". Szczerząc do tego człowieka zęby, mówiła mu: „Kiedyś w końcu cię przyskrzynię, ty kanalio. Zobaczysz, ty hipokryto".

– Mimo wszystko uważam, że słusznie nie odstąpiliśmy od oskarżenia. Dobrze, że postawiliśmy go przed sądem – powiedziała Finola, bardzo wysoka, lekko zgarbiona kobieta o haczykowatym nosie, której obecności zawsze towarzyszyło napięcie, jak gdyby była drapieżnym ptakiem szykującym się w górze do nagłego ataku na królika. – Okazaliśmy w ten sposób determinację w dążeniu do położenia kresu handlowi kobietami, mimo wszystkich trudności o charakterze

politycznym i prawnym. Tylko że oskarżając Michaela Gerrety'ego następnym razem, musimy mieć więcej jednoznacznych dowodów.

– Prawdę mówiąc, myślałam, że tym razem mamy przeciwko niemu takie, które pozwolą na więcej niż tylko obrzucenie go błotem. – Katie westchnęła, nie odrywając spojrzenia od Gerrety'ego. – Niestety, połowa naszych świadków się nie pojawiła, a druga dostała nagłej amnezji. Do tego jego świadkowie nie tylko utrzymywali, że jest czysty jak łza, ale wychwalali go tak, jakbyśmy mieli wystąpić do Watykanu o kanonizację oskarżonego.

– Trudno winić te dziewczyny o to, że się boją – skomentowała Finola. – Z czego innego miałyby żyć, jeśli nie z prostytucji? Ale zwracaj się do mnie, kiedy tylko zechcesz. Wiesz, że obecnie sądy akceptują wszelkie techniki tajnej obserwacji.

– Nie sądzisz chyba, że nie założyliśmy podsłuchów w jego sex shopie i burdelach? Ale cwany łajdak z tego Gerrety'ego: nie słyszałam na nagraniach, żeby choć raz powiedział coś, co mogłoby go obciążyć. Mimo wszystko go dopadniemy. Poczekaj, a sama zobaczysz.

Katie wydęła usta i przyglądała się, jak uwolniony z zarzutów mężczyzna wsiada do swojego zielonego mercedesa o metalizowanym lakierze i odjeżdża. Ranek był tak jasny, że miała na nosie ray-bany, przekrzywione, bo ułamała się w nich jedna z podpórek. Słońce oślepiło ją przez to na tyle, że w pierwszej chwili nie rozpoznała wbiegającego z wysiłkiem po schodach detektywa O'Donovana. Dopadł do niej, w rudawym trenczu, pasującym kolorem do jego włosów.

– Dzwoniłem do pani, ale nie mogłem się z panią połączyć! – odezwał się, zasapany.

– Co...? Och, to ty, Patricku! Od samego rana byłam w sądzie. Przepraszam, nie włączyłam jeszcze telefonu.

– Ani ja – wtrąciła Finola. – Przyjemnie czasem od tego odpocząć.

– Co się stało? – zapytała Katie. – Nie znaleźli chyba Roisin Begley? – Roisin Begley była szesnastoletnią córką jednego z najbogatszych deweloperów w Cork; minęły już ponad dwie doby od jej zaginięcia.

– Nie, niestety nie ma żadnych postępów w tym śledztwie – przyznał Patrick. – Przyjechałem powiadomić panią o zdarzeniu, do którego doszło w hotelu Montenotte. Słyszała pani, że dzisiaj miał być ślub syna Johna O'Malleya, Connora?

– Tak, z córką Gallagherów. Jak ona ma na imię...? Niamh. Czy któremuś z nich przydarzyło się coś złego?

– Młoda para cała i zdrowa, niech się pani nie martwi. Ale podczas wesela kroili tort i znaleźli w środku coś, co wygląda na ludzką głowę.

– Co takiego? Ludzką głowę? – Katie zdjęła okulary. – Wkręcasz mnie. W torcie weselnym?

– Podobno młodzi nie byli w stanie przekroić go do końca, więc dobrał się do niego John O'Malley i pociął go tak, żeby sprawdzić, co jest w środku. No i zobaczył ludzki nos. Dalej już nie wnikał w temat; w sumie trudno mu się dziwić. Nikt więcej tego tortu nie dotykał.

– Jezu – jęknęła Katie. – Czy ktoś ma podejrzenia, czyj to nos?

– Nie. – Detektyw pokręcił głową. – Są tam Horgan i Dooley, zagrodzili wejście do hotelu, w środku, przy recepcji. Czekamy na techników. Są w Ballea, bo akurat pług zaorał tam jakiegoś faceta... Powiadomiliśmy ich i przyjadą do Montenotte, kiedy tylko skończą zdejmować, że tak powiem, tego biedaka z pługa.

– Dobrze. Co z gośćmi weselnymi?

– Było ich w sumie dwustu siedemnastu. Większość jeszcze jest na miejscu, ale wypuszczają ich kolejno, po przesłuchaniu.

– W porządku. Jedźmy tam. Finola, wyślij mi raport na temat naszej sądowej porażki, dobrze? Muszę ją omówić z

pełniącym obowiązki komendanta Molloyem. Niewątpliwie będzie skakał z radości, kiedy usłyszy, że Michael Gerrety się wywinął. Pewnie pojadą wieczorem do Hayfield Manor i zamówią szampana.

Finola bez słowa zatrzasnęła teczkę i uniosła starannie podkreślone kredką brwi, jak gdyby mówiła: Obie wiemy, co się dzieje; musimy tylko poczekać, aż będą o tym wiedzieć inni, nie zgodzisz się? Zwierzyna nam się wprawdzie wymknęła, ale w swoim czasie ją dopadniemy.

◆ ◆ ◆

Zajechali pod hotel Montenotte przy Middle Glanmire Road. Na parkingu stała jeszcze ponad setka gości weselnych; większość kobiet miała na ramionach marynarki swoich partnerów. Ludzie chuchali sobie w dłonie i z zimna przestępowali z nogi na nogę. Przy bocznym wejściu do sali bankietowej parkowały dwa radiowozy, przy których stało trzech tupiących nogami policjantów, także wyraźnie zmarzniętych. Dzień był wprawdzie słoneczny, ale front hotelu znajdował się w cieniu.

Katie weszła do budynku i zbliżyła się do długiego stołu pod oknem. W sali bankietowej panowała cisza, a umocowane pod sufitem serpentyny i balony pogłębiały tylko wrażenie pustki. Na stołach było mnóstwo w połowie opróżnionych kieliszków szampana.

Detektywi Horgan i Dooley stali koło tego, co zostało z weselnego tortu; towarzyszyli im zastępca kierownika hotelu oraz John O'Malley. Bardzo młody ten zastępca kierownika, pomyślała Katie, mimo że jasnowłosy mężczyzna miał już przerzedzone włosy. Cofnął się, kiedy znalazła się tuż obok. Pewnie w długim płaszczu i jasnoszarym kostiumie założonym na rozprawę sądową przypominam mu z wyglądu dyrektorkę szkoły, uznała. Do tego ostatnio ostrzygła włosy bardzo krótko; zdaniem jej siostry, Moirin, wyglądała przez to zbyt surowo.

– Jestem zaszokowany, Katie – odezwał się John O'Malley. – I zrozpaczony. Connor i Niamh przeżyli koszmar w dniu swego ślubu.

Katie spojrzała na sczerniały nos wystający ponad biszkopt tortu. Odruchowo zasłoniła usta z powodu mieszaniny woni rozkładu i wanilii.

– Skąd jest ten tort? – zapytała.

– Od Crounana, zamawiałem go osobiście u samego Micky'ego Crounana.

– Kiedy go tu przywieziono?

– Dzisiaj przed południem, mniej więcej za piętnaście jedenasta – odpowiedział zastępca kierownika hotelu.

– Kto go przywiózł?

– Dwóch mężczyzn w białych fartuchach przyniosło go z furgonetki. Powiedzieli, że to tort od Crounana, chociaż na furgonetce nie było żadnych napisów, była po prostu biała. Podpisałem odbiór tortu, i tyle.

– Czy rozpoznałby pan tych dwóch mężczyzn?

– Bardzo wątpię. – Zastępca kierownika pokręcił głową. – Byłem w tym momencie bardzo zajęty. Mogę natomiast powiedzieć, że przynajmniej jeden z nich pochodzi z północnych dzielnic Limerick, bo rzucił na odchodnym: „Winszuję, szczynścia, zdrowia", z takim charakterystycznym akcentem. Dokładnie tak samo mówił mój dziadek, który był stamtąd, z osiedla Moyross Park.

– Rozumiem – rzuciła Katie. – Spodziewam się, że za chwilę zjawią się tu dziennikarze, którzy będą pana o to wszystko wypytywać. Czy mógłby pan w ogóle nic im nie mówić do czasu, aż powiadomimy pana, że już można? Bardzo proszę. A jeśli już musi pan coś mówić, to czy mógłby pan jak najmniej spekulować?

Młody mężczyzna zamrugał, chyba nie za bardzo rozumiejąc, co miała na myśli.

– Chodzi mi o to, żeby, na przykład, nie mówił pan reporterom, że się panu wydaje, że ktoś postanowił celowo

zepsuć to wesele, i tym podobne. Żadnych teorii, dobrze?

– Ach, oczywiście – zgodził się zastępca kierownika. – Dobrze.

– Przesłuchujemy po kolei wszystkich gości, ale niczego się od nich nie dowiedzieliśmy – powiadomił ją Horgan. – Kiedy się tu pojawili, tort stał już w widocznym miejscu, więc nikt spośród nich nie mógł niczego z nim zrobić. Państwo O'Malleyowie i Gallagherowie to znane i bardzo lubiane rodziny, zwłaszcza ze względu na ich działalność charytatywną. Żadnemu z gości nie przyszedł do głowy nikt, kto mógłby zechcieć im zaszkodzić.

– Czy nie pokłóciłeś się z nikim ostatnio? – zapytała Katie Johna O'Malleya. – Nikt ci nie groził, z jakiegokolwiek powodu?

– W zeszłym tygodniu głosowałem przeciwko budowie zapory przeciwpowodziowej Lower Lee, co spotkało się z niezadowoleniem części właścicieli sklepów z centrum miasta, to chyba wszystko. Nie zdarzyło się nic, co usprawiedliwiałoby tego rodzaju makabryczny czyn. Jeśli doprowadziłem kogoś do szału, to dlaczego nie uciął głowy mnie i nie wsadził jej do tortu? Tylko czyjąś, nawet nie wiem czyją.

– A wy, nie mieliście czasem ostatnio w hotelu jakichś trudnych gości? – Katie zwróciła się znowu do zastępcy kierownika.

– Nie więcej niż zwykle – odparł. – Niektórzy za dużo piją i naprzykrzają się pozostałym albo za bardzo hałasują w pokojach. Tydzień temu wyrzuciliśmy jednego typa, który o mały włos nas nie spalił. Był tak napruty, że nie umiał włączyć ogrzewania, więc podpalił materac łóżka.

◆ ◆ ◆

Troje techników kryminalistyki przyjechało czterdzieści pięć minut później. Weszli do sali bankietowej i kroczyli przed siebie, szeleszcząc białymi kombinezonami z cienkiego

syntetycznego materiału, w których wyglądali, jakby właśnie wrócili z kosmosu.

– Co z tym człowiekiem w Ballea? – zapytała na powitanie Katie.

– Ech, nie żyje. „Nie żyje” to mało powiedziane – odparł szef zespołu. Wydawał się cały szary: miał krótkie szpakowate włosy i pomarszczoną twarz o podobnym odcieniu. Katie pomyślała, że to te wszystkie straszliwe widoki, jakie musiał oglądać na przestrzeni lat swojej pracy, stopniowo pozbawiły go kolorów. Przecież mówi się, że ktoś osiwiał, kiedy zobaczył ducha...

– Wygląda na to, że ofiara wypadku cierpiała na epilepsję – tłumaczył technik. – W każdym razie z jakiejś przyczyny facet spadł do tyłu z siedzenia własnego traktora, prosto pod dwukierunkowy pług talerzowy.

– Oj. Aua... Nieprzyjemne.

– Piekielna robota, mówię pani. Musieliśmy oddzielić ciało od pługa. Wpadła pani kiedyś kość do maszynki do mięsa?

– Dzięki, Bill, już mi dostatecznie niedobrze. Spójrzcie teraz na to. Młoda para kroiła tort i poczuła, że w środku jest coś twardego. Obecny tu pan O’Malley pociął tort na części i proszę, co odkrył...

Kierownik zespołu techników kryminalistyki pochylił się i przyjrzał uważnie koniuszkowi ludzkiego nosa.

– Częściowo rozłożony i na wpół upieczony – ocenił. – Obfotografujemy tu to, co widać, a potem chyba zabierzemy to w całości do laboratorium. Tam zrobimy USG i poszukamy odcisków palców oraz innych dowodów, a dopiero później potniemy resztę tortu. Przy odrobinie szczęścia możemy znaleźć DNA człowieka, który lukrował tort: ludzie nieraz oblizują przy tej czynności łyżkę.

– Dobrze, przekazuję wam znalezisko – powiedziała Katie. – Bardzo was proszę o przysłanie mi zdjęcia twarzy ofiary, kiedy tylko je zrobicie. Im prędzej dowiemy się, kogo

upiekli, tym łatwiej będzie znaleźć tego diabolicznego cukiernika.

Rozdział 3

Ku swojej uldze Katie nie zastała już na posterunku przy Anglesea Street Bryana Molloya, pełniącego obowiązki komendanta. Ich relacje zawodowe, odkąd tylko został przysłany z Limerick, żeby zastąpić komendanta Dermota O'Driscolla, były coraz bardziej napięte. W przeciwieństwie do jego poprzednika, Molloya denerwowała obecność kobiet w szeregach Garda Síochána. Jego zdaniem, nie były towarzyskie tak jak mężczyźni, a poza tym nie można było mieć pewności, że staną w obronie kolegi przyłapanego na lekkim naginaniu zasad.

Zanim Katie zdążyła zdjąć płaszcz, zadzwoniła jej komórka. Telefonował detektyw Horgan spod domu państwa Crounanów przy Alexander Place, koło St Luke's.

– Pojechaliśmy na Maylor Street, do piekarni, ale zobaczyliśmy opuszczone żaluzje. Na drzwiach nie ma żadnej tabliczki ani kartki, po prostu piekarnia jest zamknięta. Teraz jesteśmy pod domem Crounanów i w środku nikogo nie ma. Na zewnątrz nie parkuje żaden samochód, nie ma śladów obecności ludzi.

– Próbowaliście do nich dzwonić?

– Pewnie. Komórka Micky'ego jest wyłączona, a jego żona nie odbiera.

– Czy telefonowaliście do pracowników piekarni? Muszą

wiedzieć, dlaczego zakład jest zamknięty i gdzie się podział szef z rodziną.

– Będziemy do nich dzwonili. Najpierw musimy się jednak dowiedzieć, kto tam pracuje, i zdobyć namiary na tych ludzi. Rozpytamy o nich w sąsiednich sklepach i u konkurencji. Pewnie u Scooziego ktoś będzie kogoś znał.

– Dobra, informujcie mnie o wszystkim na bieżąco.

Katie zaczęła przeglądać pozostawione dla niej na biurku dokumenty. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i wszedł komisarz Liam Fennessy. W okrągłych okularach i tweedowej marynarce ze skórzanymi łatami na rękawach, ostrzyżony na jeża, wyglądał raczej na angielskiego wykładowcę z Uniwersytetu w Cork niż na komisarza Gardy.

– Widziano Roisin Begley – zameldował. – Niecałą godzinę temu jedna z jej szkolnych koleżanek zobaczyła ją jadącą samochodem na Pope's Quay. Według słów tej dziewczyny Roisin nie wydawała się w najmniejszym stopniu zestresowana: śmiała się.

– Czy ta koleżanka ma pewność, że widziała właśnie Roisin?

– Stuprocentową. Zwróciła uwagę na jej jasne włosy i czerwono-białą wełnianą czapkę. Zamachała do niej, ale Roisin albo jej nie dostrzegła, albo udawała, że jej nie widzi.

– Z kim jechała?

– Z mężczyzną, którego jej koleżanka nie umiała opisać. Mówi, że była zbyt zajęta próbami zwrócenia na siebie uwagi Roisin. Wydaje jej się jeszcze, że Roisin miała na sobie niebieską bluzę od dresu, bo zapamiętała dwa białe pionowe paski na rękawach. Nic więcej nie wie.

– Dzięki Bogu Roisin przynajmniej jeszcze żyje. Myślałam, że znajdziemy ją utopioną w rzece. Skoro się jednak śmiała, to chyba uciekła od rodziców, a skoro tak, może być trudno ją znaleźć. Polecę biuru prasowemu skontaktować się z Begleyami, może zgodzą się wygłosić do córki apel w wiadomościach o osiemnastej. Wiesz:

„Błagamy cię, kochanie, wróć do domu, ani trochę się na ciebie nie gniewamy. Woofy za tobą tęskni”.

– Woofy? – powtórzył komisarz Fennessy.

– Woofy czy inny Burek. – Kiedy Katie opowiadała o torcie weselnym, Fennessy słuchał uważnie.

– O Jezu – jęknął, kręcąc głową, gdy skończyła. – To prawie równie okropne jak z tą babą z Curraheen, która usmażyła swojego chłopa na smalcu i karmiła nim koty.

– Technicy robią USG znaleziska, może zobaczymy, czyja to głowa.

– Na miłość boską, jak można upiec ludzką głowę w torcie? I po co?

Katie zamknęła leżącą przed nią teczkę z dokumentami i odepchnęła się z fotelem od biurka.

– Jeśli umielibyśmy odpowiadać na takie pytania, to oboje stracilibyśmy pracę.

◆ ◆ ◆

Tego popołudnia Katie wyszła z pracy wcześniej. Miałaby przecież wolne, gdyby nie rozprawa sądowa. Chciała poszukać w Hickey’s nowych zasłon i dywanu, ale teraz musiała poczekać z tym do weekendu. Kończyła przemeblowywanie salonu. Robotnicy zdarli tapetę w stylu regency, którą wybrał niegdyś jej nieżyjący już mąż, Paul. Pozbyła się złoconych mebli. Pewnie zawsze będzie pamiętała egoizm, niewierność i użalanie się nad sobą Paula i postępujący, szczególnie po śmierci małego Seamusa, rozkład ich małżeństwa, ale przynajmniej nie będzie już musiała żyć we wnętrzu, które było odbiciem wyobrażeń jej dawnego męża o luksusie.

Mieszkała pod Cork, na zachodnim krańcu Cobh, nad poszerzającą się w tym miejscu rzeką Lee, która dalej tworzy naturalny port i uchodzi do morza. Kiedy Katie wróciła do domu, słońce migotało jeszcze na wodzie, ale wzmagał się zimny wiatr. Przydrożne drzewa pochylały się i rzucały na